

JOZEF KARIKA

# SAMOTNOŚĆ

---

OPOWIADANIE

*Nagroda dla najlepszego opowiadania grozy na Słowacji!*



STARA  
SZKOŁA

JOZEF KARIKA

# SAMOTNOŚĆ

---

OPOWIADANIE

*Nagroda dla najlepszego opowiadania grozy na Słowacji!*



==Lx4rHigYIRZlVGxZa1tqADYBNljU2BSNli0ADYHZVBpW2tfaw87Wg==



STARA  
SZKOŁA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Jozef Karika

# **samotność**



# SAMOTNOŚĆ

*Chciałem ci tylko wyjaśnić, że jestem czarną dziurą. Żaden promień się ode mnie nie odbija. Jestem niewidzialny. Jestem dla wszystkich czarną dziurą we wszechświecie. Moglibyście mnie odnaleźć tylko dzięki polu siłowemu, gdybyście natrafili na grupę gwiazd kręcących się wokół pozornie pustego środka.*

Dušan Mitana

*Pelargonie*

Coś ze mną było nie w porządku. Trudno dokładnie określić co. Nie potrafiłem tego nazwać, spętać łańcuchem. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Obce, nigdy wcześniej go nie zaznałem. Jakiś rodzaj nastroju. Samopoczucia, w które się zapadałem. Z początku pojawiało się tylko czasami – gdy byłem wyczerpany. Potem nadchodziło częściej. *Nadchodziło* to właściwe słowo. Wprawdzie był to mój własny nastrój, mój własny stan, ale nie miałem nad nim kontroli. Nie przypominało to emocji, ponieważ je umiałem przynajmniej częściowo tłumić, a niekiedy nawet całkiem eliminować. Lecz ten nastrój zawsze wyłaniał się z głębi mózgu i pochłaniał mnie bez reszty.

Nie dało się przed nim bronić, walczyć z nim, nie dało się nic zrobić. Jak opisać ten nastrój? Z normalnych uczuć najbliżej mu było do samotności, do poczucia osamotnienia, opuszczenia. Ale bywał o wiele intensywniejszy. Nie taka samotność, kiedy jesteś sam. Było to jak taka

samotność, gdy własne istnienie wydaje ci się nadliczbowe. Kiedy czujesz, że znikasz z tkanki świata i społeczeństwa, że jesteś naroślą, wypukliną, czymś wystającym spoza tej doskonale jednolitej powierzchni. Jesteś całkowitym, wszechogarniającym przeciwieństwem. Nie jesteś sam dlatego, że wszyscy cię opuścili lub nie ma ich przy tobie. Jesteś sam przez to, że żyjesz. Twoje jestestwo to esencja samotności. Mógłbyś z kimś być tylko pod warunkiem, że w ogóle byś nie istniał. Każda molekuła twojego ciała i każde drżenie twojej myśli tworzą tę samotność. Trochę dla żartu nazywałem ją ontologiczną. Ale naprawdę tak to odbierałem. Jako samotność mojego jestestwa.

Jeśli byłem w ruchu, ten nastrój usuwał się na drugi plan. To nie znaczy, że znikał całkowicie, wręcz przeciwnie: gdyby nagle niespodziewanie zniknął, chyba bym się zabił. Przestałbym istnieć wraz z nim: nie umiałem wyobrazić sobie życia bez niego. Ale gdy się ruszałem, stawał się tłem, podkładem, kulisami, przed którymi rozgrywały się sceny – sytuacje z mojego życia. Nie musiał to być tylko ruch fizyczny czy pochłonięcie pracą, choć one były oczywiście najlepsze. W razie potrzeby wystarczał ruch myślowy, umysłowy. Skomplikowane zadania matematyczne, stymulanty, narkotyki, cokolwiek. Nigdy nie skutkowały w stu procentach i na stałe, ale w najgorszych chwilach były lepsze niż nic.

Gdy się nie ruszałem, pogarszało mi się. Nastrój całkowicie mnie przytłaczał – jego ciężar mnie przygniatał. Czasem miałem wrażenie, że szwy, trzymające mnie jako tako w całości, pękają. Nie wytrzymują ciśnienia. Stopniowo wyeliminowałem z planu dnia wszystkie chwile odpoczynku. Było to zaskakująco łatwe. Mogłem z tym żyć, bo chodziło tylko o to, żeby się nie zatrzymywać. Kiedy chciałem dać ciału chwilę wytchnienia, musiałem czymś zająć myśli. Natomiast gdy chciałem dać odpocząć myślom, musiałem wprowadzić ciało w ruch.

Największym problemem były noce. Zazwyczaj udawało mi się utrzymywać aktywność myślową aż do zapadnięcia w sen. Lecz czasem przebudzałem się w nocy, a ona tam była!

Samotność.

Leżała na mnie całym ciężarem, przygniatała mnie, miażdżyła. W takim stanie nie mogłem nawet porządnie zaczerpnąć powietrza. Jakikolwiek ruch był niemożliwy. Naciskała na każdy por mojego ciała i wnikała do wewnątrz. Zalewała moje wnętrzości, dopóki nie wypełniła mnie całego. Niekiedy trwało to całe godziny. Nie potrafiłem poruszyć nawet powiekami. Podczas tych stanów zawsze wysuszały mi się oczy.

Unikanie snu nie stanowiło rozwiązania. W mieszkaniu nie było dokąd uciec. A między ścianami dopadała mnie prędzej czy później. W uścisku kafelków w łazience lub na wypolerowanym parkiecie sypialni. Jedynym rozwiązaniem była ucieczka. Gdy przeczuwałem, że mogłaby się wynurzyć podczas nadchodzącej nocy, wychodziłem wieczorem z mieszkania i spędzałem godziny poza domem. W lecie tułałem się po mieście, okolicznych lasach lub opuszczonym terenie pobliskiej fabryki. W zimie musiałem szukać innych sposobów. Chłód i wilgotność zimowych nocy często skazywały mnie na kilkudniową karę w łóżku. A to oznaczało piekło. Zazwyczaj nie udawało się wtedy uciec nawet w dzień, natomiast w nocy stawało się to całkowicie niemożliwe. Moje cierpienie rosło.

Pomysł zrodził się nagle. Zacznę podróżować! Już po kilku próbach zrozumiałem, że najlepsze są pociągi. Można w nich było swobodnie chodzić i bywały mniej tłoczne niż autobusy. Pod warunkiem, że wybrałem odpowiednie połączenie. Bo jeśli nie, kończyłem wciśnięty w ścianę wagonu. Zdarzyło mi się to, gdy nieopatrznie wybrałem nocny pociąg pośpieszny jadący do Pragi. Ludzka masa napawała mnie obrzydzeniem – nawet podczas ucieczki przed samotnością.



Najbardziej odpowiadały mi nocne połączenia osobowe. Jeździły niemal puste, ich nieduża prędkość mnie uspokajała. Wydawały mi się przyjaźniejsze niż pośpieszne. Najczęściej jeździłem do Żyliny, trwało to mniej więcej godzinę. Tam czekałem na połączenie powrotne. Sprzyjało mi to, że podmiejska stacja znajdowała się blisko mojego domu. Rano nie było po mnie niczego widać. Żadnego zmęczenia ani podkrążonych oczu. Wręcz przeciwnie. Po spędzonej w pociągu nocy wyglądałem dużo lepiej niż po godzinach w uścisku samotności.

\*

Tamtego dnia rozpadła się moja kolejna próba stworzenia związku. Tym razem bardzo mnie to zabolalo. Właściwie sam nie wiem, dlaczego wciąż próbowałem. Chyba obawa przed tym, że przez resztę życia zostanę wydany na pastwę samotności, zmuszała mnie do kolejnych eksperymentów. Rozpaczliwych. Przecież za każdym razem kończyły się w ten sam sposób. Miesiące poszukiwań, potem tygodnie nadziei i... krach. A po nim już tylko mroczna pustka, w której samotność przygniatała mnie z jeszcze większą mocą.

Stało się to niedługo przed Bożym Narodzeniem. Zalecałem się do Iwany od kilku tygodni. Wydawało mi się, że jesteśmy na dobrej drodze. Nie wiem, gdzie popełniłem błąd. Lecz Iwana nagle stała się oziębła. Powiedziała, że nie chce się już ze mną spotykać. Przeżyłem to bardziej niż zazwyczaj. Miałem nadzieję, że tym razem się uda. Czułem, że jesteśmy sobie pisani. Kiedy wzajemność się ulotniła, pozostała tylko rozwarta otchłań samotności. Siedziałem sam w mieszkaniu i zastanawiałem się, co spieszyłem tym razem. Nic nie przychodziło mi do głowy. Siedziałem

więc i wciąż miałem to nic w głowie, przyglądałem mu się z każdej strony. Miażdżyła mnie myśl, że to wewnętrzne opuszczenie jest bezbrzeżne, dusiła mnie. Wydawało mi się, że moje ciało jest tylko cienką skorupką obejmującą doskonałą pustkę. Tak jakbym był tylko bolesną myślą, skórą i niczym więcej.

Kiedy trochę ocknąłem się z tego stanu, za oknami panował już mrok. Zegar ścienny wskazywał dwudziestą drugą piętnaście.

Było jasne, że muszę wyjść.

Chciałem oddalić tę chwilę. Chodziłem po pokojach, próbowałem oglądać telewizję. Ze wszystkiego emanowała nuda i samotność. Ze ścian, z tykania zegara, z głupiego serialu i ze mnie. Wytrzymałem do północy, dłużej się nie dało.

Kiedy zamykałem drzwi wejściowe, z lasu za domem wyłaniały się kłęby śmierzdzącej mgły. Bezgłośnie pływały nad koronami drzew niczym fantastyczne zwierzęta, a swoimi lepкими mackami zalewały całą dzielnicę. Światło lamp ulicznych rozpuszczało się w nich, śnieg błyszczał nienaturalnie. Już nie padało, ale wciąż trzymał porządny mróz. Biegłem, wręcz gnałem ku oswobodzeniu. Od samotności i od mgły. Były jednością.

\*

Pociąg osobowy numer 7850 wyrusza o drugiej w nocy z dworca głównego w Ružomberku. Pięć minut później przyjeżdża na podmiejską stację Ružomberg-Rybarpole. Już na niego czekałem, skryty w cieniu stuletniego budynku stacji. Skład liczył zaledwie kilka wagonów.

Połączenia nocne obsługiwały najstarsze pociągi. Hamująca lokomotywa skrzypiała i szczekała, aż trudno było uwierzyć, że za chwilę znów ruszy.

Oprócz mnie na stacji nie było nikogo. Bilet zawsze kupowałem dopiero w pociągu. Tutejsze kasy są w nocy zamknięte. W zimie po szóstej wieczorem nie uświadczysz tu żywego ducha.

Spojrzałem na wagony. Tylko pięć – więcej nie trzeba. W trzech ostatnich paliło się mdłe światło bezpieczeństwa. W pierwszym, tuż za lokomotywą, pobłyskiwały sufitowe jarzeniówki. Ten natychmiast odrzuciłem, choć najwyraźniej był pusty. Podczas jazdy lubię półmrok. Kolejny wagon, drugi za lokomotywą, był dla odmiany całkiem ciemny, nie świeciła się w nim ani jedna żaróweczka. Zawahałem się. Nigdy wcześniej nie jechałem w ciemnym wagonie. Mogło to być przyjemne, ale mogła też dopaść mnie tam samotność, bo ona zawsze pędziła za mną po torach. Dotychczas nigdy nie udało się jej dogonić mojego pociągu, ale nie chciałem ryzykować. Gdyby pochwyciła mnie w ciemnym wagonie... Kto wie, co mogłoby się stać.

Z drzwi przy lokomotywie wychyliła się sylwetka konduktora. Czas na wsiadanie dobiegł końca. Rozległo się gwizdnięcie, ale przytłaczające opary i śnieg natychmiast je stłumiły. Jakby tylko na to czekały i wygłodniałe natychmiast go pożarły. Znów zmierzyłem wzrokiem trzy tylne wagony. Łącznie siedziało w nich nie więcej niż osiem osób. Przez szyby widziałem zarysy głów. Jedna czy dwie się ruszały, lecz większość pasażerów spała, drzemali bez ruchu, wyglądali jak kukły. Wszedłem do ciemnego wagonu.

\*

Pusty, nie siedział tam nikt oprócz mnie. Po obu stronach ciągnęły się rzędy siedzeń obitych tanią skórą. Zawsze dwa siedzenia naprzeciwko. Nie było tam przedziałów jak w pociągach pośpiesznych. Jediną iluzję prywatności stanowiły oparcia, oddzielające czworo podróżnych od pozostałych tak, że ograniczały im pole widzenia.

Przez okna poplamione śnieżną papką przenikało światło księżyca. Nie było całkiem ciemno. Półmrok barwił wnętrze wagonu mdłym odcieniem. Wybrałem miejsce przy drzwiach. Przez szybę w nich zajrzałem na korytarzyk przed pomostem łączącym wagony, nikt oprócz mnie nie wszedł. Widziałem tylko otwarte skrzydło drzwi, a za nim czerń i płatki śniegu. Skład szarpnął i ruszył. Skrzydło drzwi zamknęło się automatycznie.

Zdjąłem kurtkę, powiesiłem ją na wieszaku i opadłem na siedzenie w lewym rzędzie. Plecami do lokomotywy. Uwielbiam uczucie jazdy w nieznane. Podobno większość ludzi woli siedzieć odwrotnie – przodem. Ja nie. Chcę być odwrócony tak, żeby widzieć zbliżającą się samotność, jeśli wreszcie uda się jej dogonić pociąg. Na razie jej tu nie było, na razie mnie nie dopadła.

Skład się rozpędzał, mijał rozpadające się dawne tereny przemysłowe. Zdewastowane dziewiętnastowieczne budynki w nocnej scenerii wyglądały niezwykle. Wydawały się nierzeczywiste, obce niczym pozaziemskie ruiny lub fantasmagoryczne gruzy. Pociąg zabierał mnie ze świata ludzi.

Peryferyjne dzielnice oraz wioski wokół Ružomberka. Myślisz: malownicze połączenie ludzkich siedlisk i przyrody. Lecz potem to się kończy i nagle znajdujesz się na pustkowiu. Światła za oknami nikną, wkraczasz w pasmo gór liptowskich i turczańskich. Powrót do przeszłości. Trasę kolejową łączącą Koszyce z Bohuminem dokończono w 1872 roku. Na tym odcinku prowadzi ona przez niezamieszkałe tereny górskie, wąskie doliny i rwące rzeki. Tory przecinają pogórze Wielkiej Fatry – jednego

z największych słowackich parków narodowych. Czterysta kilometrów kwadratowych dziczy, lasów, szczytów i samotnych dolin.

Gdy jedziesz tędy za dnia, autem po równej szosie, razem z rodziną, jest spoko. Lecz gdy jedziesz tędy sam w ciemnym skrzypiącym wagonie w środku grudniowej nocy, to zupełnie coś innego. Czułem się jak część okolicy – przemarznięty, niehumaniczny, obcy. A jednocześnie bałem się ciemności, wiszącej za taflą zimnego szkła.

Wcisnąłem plecy w gąbkę oparcia. Miękkość, delikatny zapach skóry. Rozlało się we mnie słodko-cierpkie przerażenie. Ucieczka do innego świata. Tylko ja pośród królestwa śmierci. Nawet samotność nie miała tam wstępu. Niezły paradoks. Uległem temu wrażeniu, wreszcie się rozluźniłem. Wiedziałem, że nikt nie będzie mi tu przeszkadzać. Doświadczenie z wcześniejszych nocnych wypadów podpowiadało mi, że konduktorzy nie przepracowują się o tej porze. Poprzednio nie pokazał się przez całą trasę. Może usnął w kanciapie za lokomotywą. Nic dziwnego, ja na jego miejscu też nie sprawdzałem biletów częściej niż co godzinę.

Pociąg numer 7850 ma na trasie do Żyliny łącznie pięć przystanków. Właśnie zbliżał się pierwszy z nich – Szwozow. Skład zahamował z piskiem. Usłyszałem, jak automatycznie otwierają się drzwi do wagonu. Cisza, nikt nie wchodzi po schodkach. Odjazd tym razem obszedł się bez gwizdka – pociąg po prostu ruszył przy akompaniamencie cichego mechanizmu zamykającego drzwi.

Ktoś otworzył drzwi do wagonu. Aż podskoczyłem na dźwięk skrzypnięcia rozdzierającego ciszę. Czyli jednak ktoś wsiadł. To zepsuło mi nastrój, bo samotna jazda miała jednak swój urok.

Nie zwracałem uwagi na nowego pasażera. Miałem nadzieję, że pójdzie dalej, może do kolejnego wagonu, w którym było jasno. Ale myliłem się...

Ruszył wprost do czterech siedzeń, z których jedno zajmowałem ja. Z niezgrabnych kroków i sapania wywnioskowałem, że to mężczyzna. Chyba już dość stary. Zbliżał się, najwyraźniej zapragnął towarzystwa. W nozdrza uderzył mnie ziemisty smród zmieszany z zaschniętym potem.

Syknąłem z niezadowolenia, nagle zmiana sytuacji mnie nie cieszyła. Ani trochę.

Jakiś tutejszy rolnik, zgadywałem. Ktoś, kto mieszka na pustkowiu w lesie, żywi się Bóg jeden raczy wiedzieć czym i nie ma przy sobie nikogo, kto powiedziałby mu, jak strasznie śmierdzi.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na niego. Stał, jakby rozważał, czy się do mnie przysiąść. Zacisnąłem kciuki, marząc, żeby poszedł dalej.

Stał niezdecydowany, chyba patrzył na mnie. W półmroku widziałem tylko barczystą sylwetkę, żółtą kurtkę, która wydawała mi się za duża, rozczochrane włosy i zarośniętą brodę.

Świetnie, nie mogło być lepiej.

Na plecy miał zarzucony worek. A może to była torba sportowa: model tak mniej więcej z lat sześćdziesiątych. Mężczyzna wciąż głośno dyszał. Przez chwilę miałem wrażenie, że z podniecenia lub niecierpliwości. Wzdrygnąłem się.

Wtedy się poruszył. Wszedł między siedzenia, ściągnął torbę i powoli, niemal uroczyście usiadł naprzeciwko mnie.

Cholera! – zakląłem w myślach.

Jego bezczelność mnie wkurzyła. Chciałem wstać i odejść, ale zawahałem się. Błąd. Jeden z moich największych.

Siedział bez ruchu. Nawet nie ściągnął kurtki, chociaż w wagonie było bardzo ciepło. Zaraz zacznie się pocić i śmierdzieć jeszcze bardziej. Zrobiło mi się niedobrze, zastanawiałem się, jaka jest szansa, że nie jedzie aż do Żyliny. Niewielka, bo po co jechałby w środku nocy z jednej wioski zabitej

dechami do drugiej? Skoro już postanowił wyruszyć w podróż, na pewno jedzie do miasta.

Gapił się na mnie. Siedział nie dalej niż metr ode mnie.

Z początku próbowałem go ignorować. Patrzyłem w okno i miałem nadzieję, że w końcu odwróci wzrok.

Nie odwrócił.

Od kiedy się przysiadł, nawet nie drgnął. Siedział bez ruchu w kurtce zapiętej pod szyję i patrzył na mnie. Doprowadzał mnie do szału. Czulem na sobie badawcze spojrzenie, wgryzało mi się w czaszkę.

Minuta, dwie, może nawet pięć...

Puściły mi nerwy, obróciłem głowę i spojrzałem na niego.

Nic, nie zareagował, nawet nie mrugnął. Miał błękitne oczy, prawie białe. Wzrok typowego wariata, wszystko stało się jasne. W mignięciach blasku księżyca wpadających przez okno dostrzegłem jego zwężone źrenice. Przyglądał się jakiemuś szczegółowi nad moimi brwiami.

Uciekaj myszko do dziury – przyszło mi do głowy. Komuś tu naprawdę odwala.

Monotonny rytm pociągu, światło i cień zmieniające się na pustej, wygasłej twarzy. Nocna wycieczka bardzo mi się udała.

Gęsta broda, brudna od Bóg wie czego, nagle się poruszyła. Usta pod nią rozciągnęły się w uśmiechu.

Kiedy to zauważyłem, oblał mnie pot. W brzuchu poczułem zimny kamień, ogarnął mnie strach. Już zamierzałem wstać, lecz uświadomiłem sobie, że nie tak łatwo będzie odejść. Wcześniej, kiedy wsiadłem, ściągnąłem kurtkę i powiesiłem ją na wieszaku przy oknie. W tych nerwach o tym zapomniałem. Teraz pojąłem, że ten facet opiera się o nią, bo wisi obok jego siedzenia. Nie mogłem tak po prostu wstać i wyjść – najpierw musiałbym się nad nim nachylić, żeby po nią sięgnąć.

Atak paniki. Co robić?

Pozostałem nieruchomy i modliłem się o przyjście konduktora. Wolałem nie myśleć o tym, że podczas moich poprzednich nocnych tułaczek nie pojawiał się w ogóle lub dopiero po trzeciej stacji.

Kiedy mężczyzna przemówił, aż podskoczyłem. Nie spodziewałem się tego: ani jego słów, ani swojej reakcji.

– Czy tu jest wolne? – spytał.

Jowialny głos wiejskiego chłopca. Pozornie miły, wyraźny, z nutą serdeczności. Lecz pobrzmiwał w nim też prymitywny spryt.

Te cztery słowa wibrowały mi w głowie, kręciły się wraz ze mną w dzikiej spirali.

Czy tu jest wolne? Pytanie szaleńca siedzącego metr ode mnie w pustym ciemnym wagonie. O drugiej piętnaście w nocy.

Lęk, który mnie paraliżował, nagle wybuchł we wściekłość.

– Tak! Podobnie jak te pozostałe czterdzieści siedzeń! – rzuciłem.

Nie odpowiedział, brak jakiejkolwiek reakcji. Wciąż gapił się na mnie błękitnymi oczami, jakby do tej krótkiej wymiany zdań w ogóle między nami nie doszło. Uwięził mnie nimi, pochwycił, nie potrafiłem się uwolnić.

Pulsowała we mnie adrenalina, przez chwilę poczułem się silny.

– Czy może pan łaskawie przestać opierać się o moją kurtkę? – wyrzuciłem z siebie. – Chcę ją wziąć.

Jakby mnie nie słyszał. Na jego twarzy malował się uśmiech. Zastygnięty, pusty.

Wagon się zakołysał, to zdarza się w przesmykach górskich.

Przybysz wciąż milczał, lecz sapał szybciej. Tym razem byłem pewien, że dyszy z podniecenia. Karmił się moim strachem, bezbłędnie go wyczuwał, robił mu dobrze.



Prawie pociągnąłem nosem, zbierało mi się na płacz. Wystraszony, wyprowadzony z równowagi, nie miałem pojęcia, co robić.

Pomyślałem, że jednak wstanę i odejdę. Po kurtkę wrócę później, razem z konduktorem. Zresztą nawet jeśli ten kretyn by mi ją ukradł, nie szkodzi.

– Siedź – syknął.

– Co?

Nic. Wargi znów rozciągnęły mu się w uśmiech. Jakby właśnie rozwiązał skomplikowane zadanie z algebry. Wciąż się nie ruszał i wlepił we mnie wzrok. W świetle księżycy dostrzegłem, że ożyły mu palce prawej ręki. Zaczęły falować, odsłaniając przy tym to, co dotychczas skrywały.

Coś błyszczącego.

Przez chwilę wyglądało to niegroźnie. Nie wiedziałem, co to jest. Po chwili pojąłem.

Brzytwa.

Stara, z perlistą rękojeścią i wąskim ostrzem.

Zaczerpnąłem powietrza.

– Nie zdążysz uciec.

Powiedział to wcześniej, niż sam to zrozumiałem.

Przesunął się w stronę korytarza – uwięził mnie w kącie przy oknie.

– Nie zdążysz – powtórzył. – Złapię cię i zaszlachtuję jak prosiaka, matka cię nie pozna.

– Czego... Czego pan chce?

Bez odpowiedzi. Tylko delikatnie trzęsła mu się ręka. Tak mocno ścisnął brzytwę, aż strzelały mu palce.

– Pieniędzy?

Wciąż nie odpowiadał. Skrzypienie wagonu i huk kół zniknęły. Utknąłem w szorstkiej ciszy.

Sapiący facet, błękitne oczy, błysk brzytwy i ja.

– Dokąd jedziesz?

– Do Żyliny – jęknąłem. – Na przejażdżkę.

Przyskoczył do mnie, nie zdążyłem zareagować. Chwycił mnie za rękę i rozciął przedramię. Mocno, ostrze wbiło się głęboko. Coś się rozluźniło, a moja dłoń zaczęła zwisać.

Krzyknąłem z przerażenia, całkowicie zastygłem. Jak świnia na jatkach.

Mężczyzna wrócił na swoje siedzenie.

Wcisnąłem się w kąt i zwinąłem w kłębek. Ścisnąłem ranę, między palcami wypływała krew. Nadgarstek zwisał bezwładnie.

Siedziałem i ukradkowo spoglądałem na szkarłatny przypływ.

Szok.

Nachylił się do mnie, podał mi chustkę.

Mimowolnie wziąłem ją i przycisnąłem do rany. Całkowicie utopiony w bólu.

– Zła odpowiedź – powiedział.

Nie rozumiałem, co ma na myśli.

– Dokąd jedziesz? – kontynuował przesłuchanie. Najwyraźniej dawał mi drugą szansę.

– Donikąd – przyznałem. – Po prostu tak się tułam.

Ostrze brzytwy mnie hipnotyzowało. Błyszczały na nim czerwone krople.

– W domu nie mogę wytrzymać.

– Dlaczego?

– Nie wiem, nie mogę.

– Dlaczego?

– Nie wiem!

Machnął brzytwą, przejechał mi nią po nodze. Ryknąłem i instynktownie zacisnąłem ranę na udzie. Z rozciętej ręki trysnęła mi krew.

Znów się skuliłem, płacząc cicho.

– Dlaczego? – Wciąż ten sam jowialny głos.

– Czuję się źle, kiedy jestem sam w mieszkaniu!

Nie wystrzelił kolejnego pytania, jakby o czymś myślał. Moją uwagę przykuwały rany. Rozcięcie na nodze nie było tak głębokie jak to na przedramieniu. Najwyraźniej dzinsy zamortyzowały cios. Ale i tak piekło to niemiłosiernie. Miałem wrażenie, że rana skwierczy na rozgrzanym tłuszczu.

Co będzie, gdy wstanę? Oczywiście jeśli w ogóle wydostanę się z tego siedzenia.

Mój współpasażer bawił się brzytwą. Chyba też zastanawiał się, czy mi na to pozwoli.

– Umarł ci ktoś bliski? – wypalił nagle.

Mrugnąłem zaskoczony. Ból na moment ustał. Nie mam pojęcia, jak ten zasrany górski wieśniak wyczuł powiązanie, którego nawet ja do siebie nie dopuszczałem.

W głowie wylęły mi się wspomnienia Martina. Nagły samowolny wylew, nie miałem szansy go powstrzymać.

Dorastaliśmy razem, Martin był dla mnie jak brat. Chłopak z sąsiedniego domu, trochę starszy ode mnie. Ale za to równie introwertyczny, z podobnie nietypowym upodobaniem do książek, historii i przyrody. Od małego doskonale się rozumieliśmy, nawet bez słów. Na przykład, kiedy wspinaliśmy się po górach, wystarczyło, żeby jeden z nas pomyślał, że ten drugi ma się przesunąć lub wejść wyżej, a on robił to dokładnie w tej właśnie chwili. To nie były przypadki. Mogliśmy wspinać się tak przez godzinę, doskonale ze sobą współgrając, nie mówiąc przy tym

ani słowa. Nigdy o tym nie myśleliśmy, po prostu tak było i tyle. Przyjaźń trwała piętnaście lat. Razem przeżywaliśmy pierwsze próby podrywania dziewczyn, pierwsze związki, później studia i pierwszą pracę. A potem... Jakby to było wczoraj, dokładnie pamiętam barwy i zapachy tamtego dnia, najdrobniejsze szczegóły. Koniec lipca, letni zaduch, a poza tym cudowna pogoda. Siedzimy na tarasie herbaciarni Lotos, pijemy lodowaty napój. Obok nas przechodzą kobiety w minispódniczkach, ulica kipi życiem.

– Ostatnio jestem jakiś zmęczony – mówi Martin.

– W zeszłym tygodniu wszedłeś na Chocz. – Uśmiecham się. – Ja wciąż bym odpoczywał.

– Ale wcześniej nie bywałem taki zmęczony... Żle sypiam.

– Nie bój się – macham ręką. – Przejdzie ci.

Ale nie przeszło. Skarżył się coraz bardziej. Poszedł na badania, potem na kolejne, a potem na całą serię... Białaczka.

Wskoczyła do rzeczywistości jak diabełek na sprężynce. Wystarczyło otworzyć nieodpowiednie pudełko. Najcięższa ostra białaczka szpikowa, wówczas praktycznie nieuleczalna.

Nawet w tym zasranym wagonie potrząsnęło mną echo strachu, który widziałem w oczach Martina, gdy szedł do szpitala. Myślałem, że wygryzie mu dziurę w głowie, wycieknie z oczu i wypali sąsiednie tkanki.

Urządzaliśmy sobie przedstawienie, pantomimę pełną pustych słów. Ja go na niby rozśmieszałem, a on się na niby śmiał. Kabaret. Kiedy się pożegnaliśmy, skręciłem za róg i rozpłakałem się. Kurczowo, spazmatycznie, prawie się udusiłem.

Wszystko potoczyło się szybko, trwało to zaledwie kilka tygodni. Gwałtowne pogorszenie stanu, dwa nieskuteczne rodzaje terapii, zapadnięcie w śpiączkę, śmierć. Zaledwie niecałe trzy miesiące od chwili,

gdy na tarasie zalanym słońcem i życiem Martin powiedział mi, że bywa zmęczony...

Dopiero tam, na wysiedzianej dermie pociągu, uświadomiłem sobie, że moja samotność pojawiła się po raz pierwszy niedługo po jego śmierci.

– Umarł ci ktoś bliski? – Mężczyzna powtórzył uparcie, tym razem nie zranił mnie brzytwą.

– Kolega... Najbliższy.

Związek między odejściem Martina i moją samotnością wręcz rzucał się w oczy. Lecz najwyraźniej potrzebowałem kilku cięć aż do mięsa, żebym po ponad dwóch latach przestał się bronić i wreszcie to przyznał.

– Mnie też czasem ktoś umiera – odparł mężczyzna ze zrozumieniem. Chyba nieudawanym. Miałem nawet wrażenie, że mi współczuje.

Wal się. Rany mi pulsowały, świadomość płonęła, omdlewałem.

Powoli nachylił się ku torbie, którą wcześniej położył na sąsiednim siedzeniu. Rozpiął zamek, szeroko rozsunał materiał.

– Na przykład on – powiedział, a z głębi torby wydobyła się fala duszącego smrodu.

W środku leżała ludzka głowa w foliowej torbie. Srebrzysty świt pięknie ją oświetlił, cudowny widok.

Męska, skropiona ciemnymi plamami, odleżana. Przerazone oczy, obwisnięta warga i wystający język. Pokrywał ją topniejący szron, chyba trzymał ją w zamrażarce.

Przez moje ciało przeszedł skurcz, w gardle zamarł mi jęk.

– Czasem ktoś umiera – wyszeptał. Wzruszył ramionami, zapisał torbę i odłożył ją z powrotem.

Omdlenie. W gęstnącej mgle poczułem, że pociąg się zatrzymuje. Szutowo – druga stacja. Za oknem zaczęło śnieżyć, płatki dziko wirowały.

Usta wykręciły mi się w grymasie. Raz, dwa razy... Wybuchłem płaczem. Trysnął z głębi, z przepaści, wydobywał się z takiej czerni, z jakiej nigdy wcześniej nie płakałem.

Szloch abisalny.

Na zewnątrz rozległo się krótkie gwizdnięcie, pociąg ruszył. Nikt się nie dosiadł.

\*

Błękitne oczy znów mnie świdrowały – dwa odłamki lodowej komety z innych światów. Jego oddech się uspokoił, jakby nadchodziło pojednanie.

Nagle na jego twarz powróciło skupienie, obrócił głowę – najwyraźniej coś usłyszał.

Wychylił się i przez przeszklone drzwi zajrzał na pomost łączący wagony. Zrobił to tak szybko, że nie zdążyłem zareagować. Pewnie nie poruszyłbym się, nawet gdyby zostawił mnie samego.

Zdjął moją kurtkę z wieszaka i rzucił ją na mnie.

– Zakryj się tym! – syknął.

Zaskoczony podniosłem wzrok.

– Idzie konduktor. Po prostu się zakryj, siedź cicho i nie rób nic głupiego. Pamiętaj o tym – poklepał torbę.

Nie zamierzałem się sprzeciwiać. Zrezygnowany naciągnąłem kurtkę aż pod szyję. Ukrywała obie rany i krew na siedzeniu. Kałuża na podłodze kryła się w mroku.

Machnął mi brzytwą tuż przed nosem. Nie zdążyłem nawet mrugnąć, poczułem tylko powiew.

Ostrzeżenie.

Schował ostrze pod palcami, oparł się, czekał.

Widziałem, jak kontroluje, czy spróbuję coś zrobić. Zapuszczony wieśniak, ale najwyraźniej zmysły miał jeszcze ostrzejsze niż ostrze, którym wymachiwał. Nawet gdybym się poderwał i zaczął wzywać pomoc, konduktor nie zdążyłby mu przeszkodzić w dobiciu mnie. Nie obroniłbym się zranioną ręką – gdyby zechciał, poderżnąłby mi tętnicę szyjną. Bez problemu, nawet by się przy tym nie zasapał. Albo rozorałby mi twarz.

Drzwi otworzyły się, wszedł konduktor. Około czterdziestoletni. W rozchełstany mundurze kolejowym, niskiego wzrostu, z wąskimi ramionami i zaspą miną. Bingo, on na pewno mnie uratuje.

Nawet na nas porządnie nie spojrzał. Przetarł oczy i wpatrywał się w śnieg za oknem.

– Gdzie wsiedliście? – spytał i ziewnął.

– W Szwoszowie – powiedział mężczyzna i uśmiechnął się miło. Uprzejmość, wcielone dobro. – Proszę dwa do Żyliny.

Konduktor coś wystukał na swojej przenośnej kasie, przypiętej do paska. Potem pokręcił dźwignią i wysunęły się dwa bilety. Oderwał je i podał mężczyźnie.

– Sześć euro.

Zauważyłem, że ta świnka wciąż się uśmiecha. Oddech mu przyśpieszył, zrobił się głośniejszy. Nie miałem pojęcia, co planuje, ale coś się święciło.

Rękę, w której nie trzymał brzytwy, wsunął do kieszeni. Przez chwilę w niej grzebał, a potem wyciągnął banknot dwudziestoeurowy. Starannie go wyprostował i podał konduktorowi.

On go chwycił, lecz... Wieśniak wciąż trzymał go w palcach.

Konduktor spojrzał na niego znudzony.

– Wydam panu – wymamrotał.

– W porządku. – Wieśniak wreszcie puścił banknot i obrócił dłoń.

Kolejarz położył mu na nią resztę, skinął głową i ruszył do kolejnego wagonu.

Pieniądze powędrowały do kieszeni żółtej kurtki. Nic się nie stało. Nic się nie wydarzyło. Najzwyczajniejsza kupka papierków na świecie.

Czułem się pusty. Całkowicie. Zrezygnowany. Wystarczyły do tego dwa cięcia brzytwą.

– Panie konduktorze! – odezwał się mój oprawca.

– No, co jest?

– Proszę jeszcze podejść. Chcę o coś zapytać.

Konduktor coś wymamrotał, ale ruszył z powrotem w naszą stronę.

Kiedy stał już przy nas, wieśniak nachylił się do niego.

– Proszę mi powiedzieć... O której ten pociąg dojedzie do Ułan Bator?

– Co?! – Kolejarz zamrugał i też się pochylił.

Błąd. Uprzejma mina zsunęła się z brodatej twarzy. Nagle, jakby odpadła.

Tam siedział drapieżnik. Z martwym, zastygłym wzrokiem. Zwierzęcym.

Syknął i poderwał się z siedzenia. Chwycił ofiarę za włosy, pociągnął za głowę i poderżnął gardło.

Idealnie, głęboko i szeroko, zdecydowanym ruchem bez najmniejszego zawahania.

Puścił zwłoki i usiadł na swoim miejscu. Trwało to tylko sekundę i znów wszystko było po staremu, jakby nic się nie stało.

Szczęka mi opadła, mimowolnie rozdziawiłem usta.



Konduktor stał jak oparzony, trochę się kołysał. Trzymał się za gardło, wydawał cienkie piskliwe dźwięki. Jak ruszający z miejsca pociąg, tyle że ten jego pociąg nieodwracalnie zniknął w oddali.

Uświadomiłem sobie, że pada na mnie delikatna mżawka. Krew, która niczym czerwona mgła przenikała mu między palcami.

Razem z życiem, razem ze wszystkim.

Ugięły się pod nim kolana. Powoli, niemal dostojnie osuwał się na podłogę.

Na przepoconym ciele mignęło mu pożegnanie księżyca, w oczach rysowało mu się przerażenie zmieszane ze zdziwieniem. W rozszczepionym gardle gwizdnęło powietrze.

W końcu ciało go zdradziło, stracił równowagę i padł na ziemię.

Zniknął mi z pola widzenia, a z mrocznych cieni dobiegało charczenie.

Na moim współpasażerze nie robiło to żadnego wrażenia. Nawet najmniejszego. Całą uwagę poświęcał mnie. Łapczywie, z wyraźną rozkoszą, obserwował każde drżenie przebiegające przez moją twarz. Nasyczał się moim przerażeniem, upajał moim szokiem, jakby był to najśłodszy boski nektar.

Uśmiechał się przy tym błogo, w przypływie rozkoszy przymykał oczy.

Nie potrafiłem odwrócić wzroku od mroku w korytarzu między siedzeniami, od przeczuwanego źródła szorstkiego charczenia. Słabło, zgrzytanie pociągu zagłuszało je coraz skuteczniej, tak jakby pociąg pochłaniał duszę swego sługi.

Wieśniak nachylił się i podał mi bilet. Automatycznie go od niego wziąłem.

– Jeszcze pogadajmy – zaproponował.

Nie zareagowałem. Nawet zbytnio nie wiedziałem, co mówi.

– Kiedy czasem ktoś umiera, jest źle. Prawda?

Pociąg wjechał do tunelu wiodącego przez Streczno. Lampy na betonowych ścianach wygoniły cienie z podłogi i oświetliły przedśmiertne skurcze konduktora.

Tylko przez moment, tunel jest krótki i po chwili znów zaczerpnęliśmy w płuca ciemność.

Lecz tamten widok pozostał wyryty głęboko, bardzo głęboko...

Mojemu towarzyszowi skończyła się cierpliwość. Chciał rozmawiać, a nie oglądać moją medytację.

W powietrzu błysnęła stal, usłyszałem szybki ruch.

Ostrze opadło mi na policzek i zanurzyło się w nim jak w maśle.

Krzyknąłem, policzki są bardzo wrażliwe.

Ciało zwinęło mi się w kłębek, dłonie wystrzeliły ku nowej ranie. Długa, głęboka...

Usta miałem pełne lepkiej krwi, ściekała do przełyku, dobijała mnie.

– Kiedy czasem ktoś umiera, jest źle – powtórzył. Tym razem już nie jako pytanie, tylko stwierdzenie.

Pozostałem skulony, tylko pokiwałem głową. Z ust ciekły mi nieforemne strumyczki.

Chwycił mnie za włosy i gwałtownie odepchnął. Uderzyłem o siedzenie i osunąłem się po nim bezwładnie, gasłem, traciłem przytomność.

– Słyszałeś w zeszłym roku o tej francuskiej rodzinie, która zaginęła podczas wspinaczki na Szipruń? – zagaił. – Ojciec, matka, dwoje dzieci... Słyszałeś?

Mrugnąłem, zakrztusiłem się krwią i zacząłem kaszleć. Strach mnie ocknął, świadomość znów wypłynęła na powierzchnię.

O czym on mówi?

Rodzina francuskich turystów... Wielka Fatra... Zeszłoroczne lato...

Jasne, wielka sprawa, czterech zaginionych, kto mógł o tym nie słyszeć?

Zmusiłem się do skinięcia głową i mocno zacisnąłem powieki, spodziewając się kolejnego ciosu.

Sekunda, dwie...

Nic, smagnięcie brzytwą nie nadchodziło. Chyba mój towarzysz uznał, że jestem zbyt niedysponowany, by rozmawiać.

Nachylił się nade mną, chwycił logo wyszyte na kurtce i podsunął mi je pod oczy.

– Czytaj – syknął.

LA REDOUTE.

Francuska marka. Nie powinno mnie to zaskoczyć, ale żołądek skurczył mi się boleśnie. Wyjaśniło się, dlaczego chodzi w kurtce za dużej o kilka rozmiarów.

Przed oczami pojawiły mi się iskry, kręciło mi się w głowie, wszystko spłynęło w rozmazaną smugę.

Pogłaskał mnie po włosach i wymierzył mi lekki policzek. Żebym się ocknął.

Coś się zbliżało, coś ważnego. Czyżby finał? Miłosierny cios?

Wstał, usłyszałem dźwięk zamka błyskawicznego. Odruchowo podniosłem wzrok, choć najchętniej niczego bym już nie widział, nie czuł i nie słyszał.

Powoli rozpinał kurtkę, rozbierał się. Nie miał pod nią żadnego podkoszulka, swetra ani koszuli.

Tylko goła skóra pokryta zaschniętą krwią. To dlatego tak strasznie śmierdział.

Ściągnął kurtkę i rzucił ją na siedzenie.

Pokazał mi się w pełnej krasie. Tułów miał zakrwawiony tak, jakby wytarzał się w tej lepkiej cieczy lub rozmazał ją sobie po ciele.

Na pewno to nie była jego krew. Bo gdyby była jego, nie trzymałby się już na nogach.

Delikatnie, ale zdecydowanie chwycił mnie za włosy i odchylił moją głowę.

Podniósł brzytwę, z rozkoszą wciągnął w skronie zapach mojego zwierzęcego przerażenia i...

Uderzyłem go w pachwinę! Nawet nie zacisnąłem porządnie pięści. Rozpaczliwa próba. Ale dałem z siebie wszystko, ostatnią resztkę sił.

Krzyknął zwierzęco, zatoczył się.

Poderwałem się z siedzenia i zdążyłem poczuć nadzieję, że zraniona noga wytrzyma nagłe obciążenie.

Nie wytrzymała.

Runąłem w korytarz, wprost na martwe ciało. Rozległo się pluśnięcie, wokół rozlewało się krwawe morze.

Chwycił mnie za kostkę i wbił ostrze w łydkę.

Zawyłem i mocno wierzgnąłem.

Trafiłem go, coś pękło, puścił mnie.

Moją jedyną szansą było dostanie się do sąsiedniego wagonu. Przecież tam byli ludzie, widziałem ich, kiedy wsiadałem.

Ruszyłem, najpierw na czworakach, a potem – śmiesznie podskakując – tylko na nogach.

Wbijałem wzrok w pomost między wagonami, zza pleców dobiegało tupanie.

Dotarłem do drzwi, otworzyłem je, wybiegłem i zatrzasnąłem je za sobą.

Przy klamce miały zamek obrotowy. Przekręciłem go w ostatniej chwili.

Wieśniak właśnie dobiegł do drzwi i rzucił się na szybę.

Wściekła, szalona twarz zaledwie kilka centymetrów od mojej. Od tej furii źrenice skurczyły mu się w dwie czarne kropki. Wyszczерzał na mnie zepsute zęby, parskął, walił pięściami w szkło i zostawiał na nim krwawe smugi.

Drzwi powinny go zatrzymać, choć niezbyt w to wierzyłem.

Zaczerpnąłem powietrza i ruszyłem do kolejnego wagonu.

\*

Były tam włączone tylko światła bezpieczeństwa. Na siedzeniu dostrzegłem śpiącą postać.

– Hej! – krzyknąłem. Dokuśtykałem i potrząsnąłem drżącym ciałem.

Głowa bezwładnie opadła mu do tyłu.

Starszy pan. Nieżywy, oczy wytrzeszczone, broda obwisła. Łono pełne krwi.

Przez gardło ciągnęła się cienka, ale głęboka rana. Poderżnięte. Brzytwą, tak jak u konduktora.

Jęknąłem i zatoczyłem się, niepewnym krokiem ruszyłem dalej.

W środkowej części wagonu czekali na mnie następni. Otyła kobieta rozparta na dwóch siedzeniach, całkowicie blada, całkowicie wykrwawiona.

Dwa siedzenia dalej około trzydziestoletni facet. Wciśnięty w ścianę przy oknie, głowa opierała mu się o szybę i podskakiwała. Szklisty, niewidzący wzrok wbijał się w mrok na zewnątrz. Jako jedyny zdążył się bronić – oprócz gardła miał pocięte również ręce, brakowało mu kilku palców.

Padłem na kolana, mrugając i potrząsając głową. Nie rozumiałem, co się dzieje, nic do siebie nie pasowało, nic nie miało sensu.

Z korytarzyka między wagonami wciąż dobiegały uderzenia.

Jak to zrobił? – przeleciało mi przez głowę. Po kolei, jednego po drugim? Najwyraźniej atakował z tyłu. Chwytał śpiącą ofiarę za głowę i podrzynał jej gardło. Hałas pociągu zagłuszał wszystkie dźwięki.

Przez chaotyczne rozważania nagle przebiło się najważniejsze pytanie.

Ile osób zdążył zabić?

Eksplozja, a tuż po niej pojawiły się odłamki.

Wymordował cały pociąg?

Czy przeżyłem tylko ja? Ostatni? Sam?

Kolejne uderzenia z korytarzyka.

Przecież to niemożliwe, musi już mieć zmiażdżone wszystkie kości w pięściach...

Kiedy tak właściwie wsiadł?

Na pewno był w pociągu już wtedy, gdy wsiadałem, bo w przeciwnym razie nie zdążyłby...

Nic nie miało sensu, nic nie pasowało na swoje miejsce.

Jak to wygląda w kolejnym wagonie? Martwi czy żywi? Ratunek czy kolejny krąg piekła?

Doskonały kot Schrödingera – na razie w grę wchodzi obie możliwości. Dopiero kiedy tam zajrzę, jedną z nich odrzucę.

Zacisnąłem zęby, zebrałem się w sobie i ruszyłem dalej. Kolejny pomost między wagonami był jak czyściec. Nie wiedziałem, czy czeka mnie za nim raj czy inferno.

Otworzyłem drzwi, przez chwilę miałem nadzieję...

Błąd.

Już w przedniej części leżały zwłoki dwóch kobiet. Szczególnie krwawa robota, ich piszczenie na pewno go cieszyło.

Nie dopadnie mnie! Dzielą nas zamknięte drzwi, nie dopadnie mnie!

Moment... zawahałem się.

Czy naprawdę wierzysz, że zapadka jest tylko z jednej strony takich drzwi? W pociągu osobowym, w którym ktokolwiek mógłby z niej skorzystać i zamknąć cały wagon?

Nic nie miało sensu...

Albo ten rozszalały zjeb w ogóle nie myśli i nie wpadł na to, że nie musi walić w te drzwi, tylko po prostu je otworzyć, albo...

Albo co?

Wszystko zaczęło się kręcić, musiałem oprzeć się o najbliższe siedzenie. Wydawało mi się, że dostrzegam w półmroku kolejne martwe ciała, ale nawet tego nie sprawdzałem.

Z oddali, jakby przez watę, dotarł do mnie pisk. Pociąg hamował – trzecia stacja. Nie dopadnie mnie, nie dopadnie! Trzymałem się ostatniej deski ratunku. Kurczowo, rozpaczliwie. Lecz ona też się rozpadała, wzdłuż niej pojawiały się coraz szersze pęknięcia.

Jeśli zabijał już wtedy, gdy wsiadałem do pociągu, musiał być wtedy gdzieś tu, w tylnych wagonach.

Ale do mojego wsiadł z przodu – z przeciwnej strony.

Jak się tam dostał?

Trzecia stacja... Drzwi do wagonów otwierają się automatycznie...

Jak się tam dostał?!

– Chryste! – wyrzuciłem z siebie. Nagle się ocknąłem, poderwałem się na równe nogi.

Skład zatrzymał się z szarpnięciem. Wszystkie drzwi otworzyły się na oścież.

Przebiega między wagonami! Na stacji wysiada z pociągu i wsiada innymi drzwiami. Może być teraz gdziekolwiek. Z przodu, z tyłu, tuż za moimi plecami.

Obróciłem się gwałtownie.

Nic. Pustka.

Co teraz? Dokąd iść, gdzie się udać?

Pociąg ruszył, rozpoczęła się kolejna runda.

Dlaczego nie uciekłeś? Dlaczego nie wyskoczyłeś, choćby w ciemność?!

Za późno, ptaszku, za późno.

Dlaczego nie...

Drzwi po drugiej stronie wagonu otworzyły się z hukiem. Nadbiegał, charczał jak zwierzę, pędził prosto na mnie. Dziko wymachiwał brzytwą, nie mógł się doczekać, aż ją we mnie wbije.

Krzyknąłem z przerażenia, prawie zamarłem. Lecz instynkty zwyciężyły, zacząłem biec.

Ranna noga mnie nie słuchała, tupot za plecami rozlegał się coraz bliżej.

Wbiegłem na pomost między wagonami. Chwyciłem klamkę jakichś bocznych drzwi, otworzyłem je, wskoczyłem do środka i zatrzasnąłem.



Malutka klitka, migająca żarówka, smród moczu. Toaleta, brudna umywalka i zaśniedziałe lustro.

Kiepski ratunek, ślepa ulica. Chyba że wyskoczę przez okno pomalowane farbą.

Nie zdążyłem się nawet poruszyć, a już walił w drzwi. Blokowałem je ciałem, ale i tak otwierał je powoli, na dziesięć, dwadzieścia centymetrów. Zaparłem się i naciskałem ze wszystkich sił, żeby zatrzymać miażdżący napór.

Machnął przez szparę brzytwą, trafił mnie w prawą dłoń. Głęboka rana przy nasadzie małego palca, krwi a krwi.

Wal się! Nie puszczałem.

Wcisnął do środka rękę – aż po łokieć. Kruszyła się mu z niej zaschnięta krew, widziałem najdrobniejsze szczegóły.

Obaj wrzeszczeliśmy na całe gardło. Ja z przerażenia, on z instynktownego pragnienia dobicia mnie.

Uderzyłem łokciem w lustro przyklejone do ściany. Pękło, szkło posypało się na podłogę. Jeden większy odłamek wpadł do umywalki.

Nachyliłem się po niego i...

Straciłem równowagę, nacisk z zewnątrz był silniejszy. Upadłem na kolana, chwyciłem odłamek.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, mężczyzna wpadł do środka.

Dźgnąłem go w twarz. Oko.

Zawył przeraźliwie, jego ręce wystrzeliły ku twarzy.

Wypchnąłem go, zatrzasałem drzwi i przekręciłem zamek.

Sekundę później znów zaczął się dobijać, uderzał w drzwi z całych sił, bałem się, że zaraz puszcza zawiasy.

Spojrzałem na okno, pomyślałem, że wyskoczę. Spróbowałem otworzyć je zakrwawionymi rękami.

Bez szans. Zacięte, zamknięte, kto wie.

Walnąłem w szybę łokciem. Nie da rady, nie pojawiło się nawet pęknięcie. Chyba że w mojej kości.

Opadłem z sił. Osunąłem się na śmierdzącą podłogę, skuliłem się pod umywalką. Nie przejmowałem się rozsypanymi odłamkami szkła, było mi obojętne, że mnie pokaleczą.

Z zewnątrz znów dobiegało jedno uderzenie za drugim. To nie był człowiek. Żaden śmiertelnik by tyle nie wytrzymał.

Wybuchłem płaczem. Nieopanowanym, z głębi, aż mną trzęsło.

Załamanie.

Ocknęło mnie dopiero szarpnięcie. Pociąg znów stał – czwarta stacja.

Cisza. Uderzenia ustały.

Czyżby jednak się poddał? Odetchnąłem.

Z zewnątrz coś uderzyło w okno. Coś twardego, pewnie kamień.

Kolejne uderzenie.

Jeszcze jedno.

Po szybie rozbiegły się pęknięcia.

Patrzyłem na nie z niedowierzaniem. Nie rozumiałem, co się dzieje.

Ostatnie uderzenie, szkło pękło.

Natychmiast zaczął wdrapywać się do mnie. Najpierw ręka z brzytwą, potem głowa i barki.

Tym razem nie zastygłem ze strachu. Przekręciłem klucz, otworzyłem drzwi i wybiegłem na korytarz.

Obejrzałem się – już miał w środku cały tułów. Potłuczone szkło pokaleczyło mu ręce i plecy, zmienił się w krwawą masę, ale nie zwracał na

to uwagi. Skupiał się na czymś ważniejszym.

Zabić, zabić, zabić.

Pociąg ruszał, za kilka minut będziemy w Żylinie. Duża stacja, wszędzie ludzie.

Rozejrzałem się i myślałem spanikowany, w którą stronę uciekać.

Już w żadną, nie dawałem rady, koniec. Straciłem zbyt wiele krwi, byłem zmasakrowany, ciało odmówiło posłuszeństwa.

Zza pleców dobiegało do mnie zwierzęce charczenie. Zwycięskie – przeczuwał, że mnie dopadł.

Mój wzrok padł na hamulec bezpieczeństwa. Dосkoczyłem do niego, chwyciłem i pociągnąłem całą swoją wagą.

Składem szarpnęło. Pociąg zaczął hamować. Gwałtownie.

Upadłem na podłogę. On też, usłyszałem brzęk szklanych odłamków.

Dobrze, niech się w nich porządnie wytarza. Liczy się każda sekunda.

Podniosłem się i na czworakach dobiegłem do wyjścia. Nacisnąłem na klamkę.

Drzwi się otworzyły!

Do środka wpadł śnieg i ostry mróz. Ocknęły mnie, potrząsałem głową. Wychyliłem się, walcząc o wolność, prawie wypadłem, zsunąłem się po żelaznych schodkach.

Spadłem na zaśnieżone kamienie przy torach. Zabolało, ale ból mnie ucieszył, mój najlepszy przyjaciel.

Zatrzasnąłem drzwi. W ostatniej chwili – ujrzałem go z drugiej strony.

Tym razem szczęście mi sprzyjało. Po zamknięciu przez chwilę nie można otworzyć ich ponownie.

Trząsałem się z szoku, wyczerpania i zimna. Ruszyłem w stronę lokomotywy. Ledwo się wlokłem, opierając się o wagon. Ale brnąłem przed

siebie.

Drzwi lokomotywy się otworzyły, z kabiny buchnęło przyjemne żółte światło. Maszynista wychylał się i coś krzyczał.

– Niech pan mnie tam zamknie – sapnąłem. – Niech pan mnie u siebie zamknie!

Ucichł, patrzył na mnie zdeorientowany. Wzrokiem przesakiwał z jednej mojej rany na kolejną, zrozumiał, że coś się stało, ale nie miał pojęcia co.

– Boże, co się panu stało? – jęknął.

– Po prostu niech mnie pan u siebie zamknie.

Wciąż się wahał, kręcił głową niezdecydowany. Zza jego pleców wychylił się jakiś młodzieniec, najwyraźniej praktykant na próbnej jeździe nocnej.

Już nie wytrzymałem, wdrapywałem się do kabiny.

– Niech mnie pan tu zamknie... Ten facet... Zabił ludzi...

Maszynista mnie wpuścił. Widział, że jestem ranny i w szoku. Wskazał na siedzenie, a ja osunąłem się na nie.

Ten młody nic nie mówił, tylko patrzył na mnie z otwartymi ustami.

– Poczekaj tu z nim – powiedział mu maszynista. – Pójdę sprawdzić, co się dzieje.

– Niech pan nie idzie – jęknąłem.

Na próżno. Zeskoczył ze schodków, zniknął w ciemności.

Wstałem i zatrzasnąłem drzwi. Na szczęście miały porządne zamknięcie.

Praktykant wciąż gapił się na mnie, wydawał mi się wystraszony.

Wreszcie odsapnąłem. Ogarnęło mnie surrealistyczne uczucie, kabina tonęła we mgle.

Maszynista wrócił jakąś godzinę później, może dwie, straciłem poczucie czasu. Nie przyszedł sam. Towarzyszyło mu mnóstwo policjantów. Nie tych zwyczajnych, ale w kominiarkach – jednostka specjalna. Krzyczeli i celowali we mnie różnymi rodzajami broni.

Młodzieniec leżał na podłodze. Martwy, ze zmasakrowaną głową. Samotność znów mnie dopadła.

\*

Później, kiedy siedziałem w areszcie, powiedzieli mi, że przeszukali cały pociąg, lecz znaleźli tylko zamordowanych ludzi i jednego żywego – jakiegoś poharatanego mężczyznę. Twierdził, że go zaatakowałem, goniłem i próbowałem zabić brzytwą.

Nie rozumieli, kiedy wyjaśniałem im, że na chwilę pokonałem samotność, przeszedłem samego siebie i własną ograniczoną perspektywę. Nawet nie próbowali pojąć, gdy mówiłem im o połączeniu nas wszystkich i o tym, że tak naprawdę nikt z nas nie jest sam. Nie interesowało ich również moje główne odkrycie: stan interwidualności.

Indywidualność, samotność istnieje, jest realna. Ale nie jest naszą naturą. Jesteśmy interistotami, interwidualnościami, które wzajemnie się tworzą, płodzą i niszczą w olbrzymiej i wiecznej sieci kosmicznej.

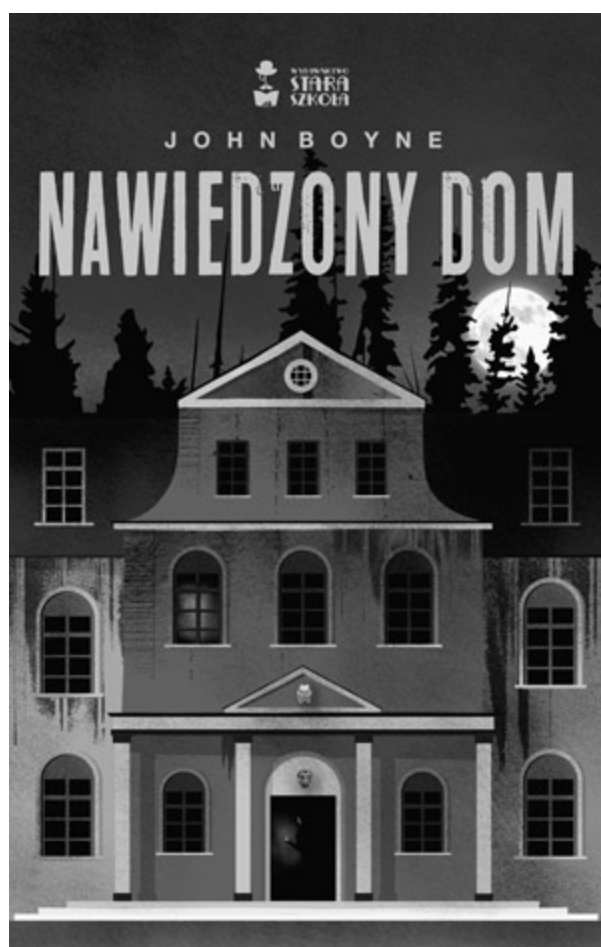
Ale oni? Mikroby zamknięte w iluzorycznych samotnościach. Wciąż powtarzają te swoje banały. Ślina i krew na ciałach ofiar były podobno zgodne z moim DNA. Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Moje DNA, twoje, ich...

Nie jesteśmy od siebie oddzieleni, samotność nie istnieje. Gdyby coś nas od siebie dzieliło, gdyby między mną i tobą coś leżało: ciało, materia, powietrze, ocean, czas czy choćby przestrzeń – jednocześnie nas to ze sobą łączy. A gdy nic między nami nie leży, nic nas nie oddziela. Jesteśmy wzajemnie połączeni – zawsze, ze wszystkim i wszystkimi. To nie żadne wielkie odkrycie. Ważna jest jednak jakość, intymność tego połączenia. Martin, nasze wspólne wspinaczki, doskonała synchronizacja...

Pozbycie się fałszywego poczucia oddzielenia, to chciałem osiągnąć, o to przez cały czas mi chodziło.

W kółko pytali, czy potrafię powiedzieć, skąd mam swoją żółtą kurtkę. Ciągłe te nieistotne pytania. Po prostu ją mam i tyle – od zeszłorocznego lata.

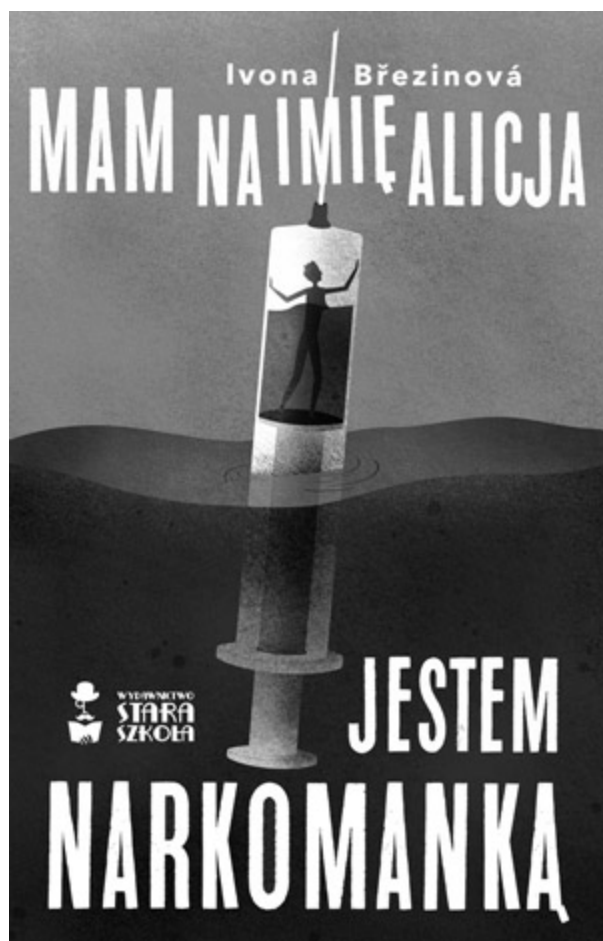
Mniej więcej właśnie wtedy ogarnęło mnie wrażenie, że coś jest ze mną nie w porządku. Wtedy przestałem się golić, myć, dbać o swoje nic nieznaczące ciało. O brzytwę po dziadku dbałem jak o fetysz, symbol możliwego powrotu, ucieczki z samotności z powrotem między ludzi. Dopiero teraz, gdy znów jestem cały i zdrowy, widzę to wszystko jasno. Po śmierci Martina w niczym nie widziałem sensu.



Po śmierci ojca Eliza Caine postanawia porzucić Londyn i objąć stanowisko guwernantki w posiadłości Gaudlin Hall. W starym domu nie zastaje jednak pracodawcy.

Wita ją tylko... dwoje dzieci.

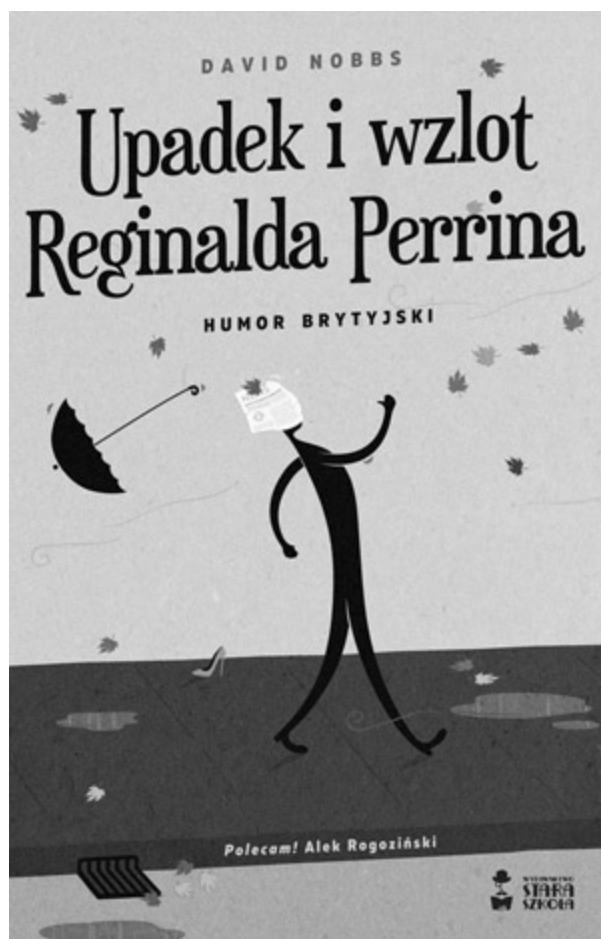
Tajemnica, o której nikt nie chce mówić. Klaustrofobiczna atmosfera angielskiej prowincji. I seria wypadków wskazujących na siły nadprzyrodzone. Kiedy wychodzi na jaw tragiczny los poprzednich guwernantek, Eliza Caine pojmuję, że w Gaudlin Hall stoczy bój o życie swoje i swoich podopiecznych.



Wzorowa rodzina: matka nauczycielka, ojciec przedsiębiorca, dwoje dzieci. Jednak pozorna idylla zmienia się w koszmar, gdy córka Alicja po raz pierwszy sięga po narkotyki i wsiada na szaleńczą karuzelę kręcącą się coraz szybciej. Czy stało się tak za sprawą jednej złej decyzji, czy wieloletnich błędów uznawanych powszechnie za błahe? Jak rodzice mogą ustrzec dzieci przed narkotykami? Jak one same mogą się przed nimi bronić?

*Mam na imię Alicja.* Jestem narkomanką to pierwsza część trylogii pod tytułem Dziewczyny na smyczy poświęconej problemom nastolatków.





Jedna z najpopularniejszych brytyjskich komedii literackich!

Kiedy Reginald I. Perrin, pracownik Słonecznych Deserów, obudził się pewnego czwartkowego poranka, bynajmniej nie zamierzał nazwać swej teściowej hipopotamem. Lecz później wszystko uległo diametralnej zmianie.

Reggie poczuł, że musi zmienić swoje życie. Nie chciał,

by ograniczało się do nudnej pracy i przewidywalnego małżeństwa. Przewraca więc swój świat do góry nogami. Czy to pozwoli mu odwrócić złą kartę?

Brytyjski humor w najlepszym, starym stylu!



Czwarta część najpopularniejszego literackiego sitcomu ostatnich lat!

Spokój na zamku zostaje zakłócony. Personel musi zmierzyć się z falą przestępstw przetaczających się przez Kostkę.

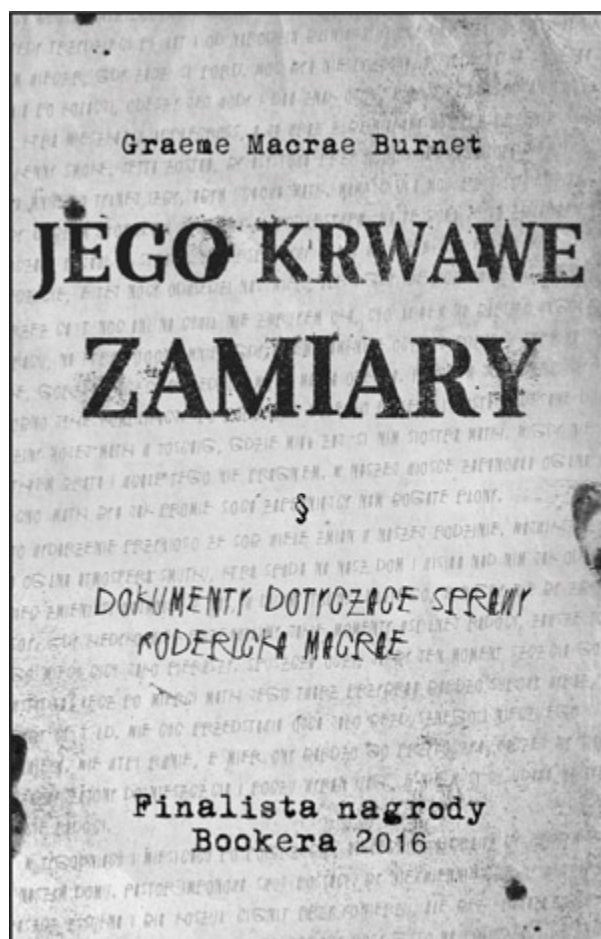
Czy w obliczu tak dramatycznych wydarzeń można zachować dobry humor? Oczywiście! Nowi bohaterowie, nowe wątki i kolejna dawka doskonałej rozrywki. Evžen Boček mistrzowsko bawi się konwencją, serwując gagi i humor sytuacyjny, za które pokochały go setki tysięcy czytelników!



Pamiętnik surrealistyczny. Gwarancja czeskiego humoru.

Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?



Thriller psychologiczno-sądowy.

Jedna z najważniejszych powieści grozy ostatnich lat.

Szkocja, 1869 rok. W zapomnianej przez Boga i ludzi osadzie zostaje popełnione potrójne morderstwo. Do winy przyznaje się siedemnastoletni Roderick Macrae. Czy rzeczywiście jest odpowiedzialny za zbrodnię. Co mogło sprawić, że postanowił zrealizować swe krwawe zamiary?

Finalista Nagrody Bookera 2016

Zdobywca Nagrody Saltire 2016 w kategorii Najlepsza Powieść 2016

Zdobywca Nagrody Vrij Nederland w kategorii Najlepszy Thriller 2017

Finalista Nagrody Los Angeles Times w kategorii Najlepsza Książka Grozy 2017

Finalista Sunday Herald Culture Awards w kategorii Autor Roku 2017



Trybecz, pasmo górskie na Słowacji. Od dziesięcioleci krążą o nim legendy z powodu tajemniczych zaginięć. Niektóre ofiary zostały znalezione martwe. Niektóre zniknęły bez śladu. A jeszcze inne powróciły – ranne i niezdolne do życia.

Igor zdobył tytuł magistra. Po pięciu latach wreszcie może zacząć karierę jako... robotnik budowlany. Na swojej pierwszej budowie odkrywa tajemniczy sejf. Znajduje w nim płyty gramofonowe sprzed kilkudziesięciu

lat. Słyszy na nich głos człowieka, który przez ponad trzy miesiące błąkał się w górach Trybecza.

Legenda, mistyfikacja czy przerażająca rzeczywistość?

Świetna powieść najpopularniejszego słowackiego pisarza. Jozef Karika staje twarzą w twarz z legendą Trybecza.

Szczelina zdobyła najważniejszą słowacką nagrodę literacką

ANASOFT LITERA w kategorii NAGRODA CZYTELNIKÓW!



Jakie wydarzenie najbardziej zmienia świat dorosłego mężczyzny?  
Oczywiście narodziny dziecka.

Dziecko w wieku przedszkolnym to zbiór opowieści napisanych przez tatę trzyletniej Wiki. M. M. Cabicar opisuje rodzicielską rzeczywistość bezkompromisowo, czasem dosadnie, ale przede wszystkim z rozbijającą szczerością i kapitalnym poczuciem humoru. Nie zdejmuje różowych okularów nawet w najbardziej kłopotliwych sytuacjach, wychowując dzięki temu niezwykle pogodne dziecko!



Jeremiasz jest inny. Żyje w świecie, w którym dni tygodnia mają swoje kolory, a najlepszą zabawką jest zamek błyskawiczny. Jeremiasz wychodzi z domu tylko z olbrzymią pokrywką.

Jeremiaszem opiekuje się siostra Pamela. Dlaczego to właśnie ona rozumie go najlepiej? Chłopiec, jego siostra oraz ich mama przeprowadzają się do kolejnego miasta. Muszą rozpocząć życie na nowo. Czy tym razem im się to uda?

Ta pełna ciepła i humoru historia łamie serca i uczy zrozumienia.



Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

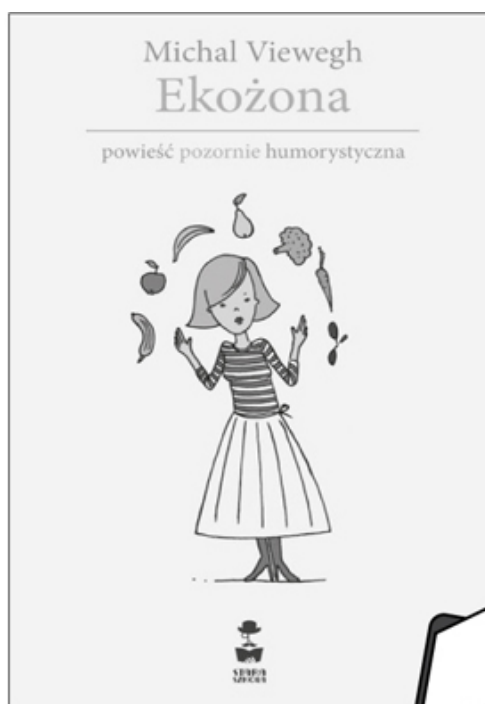
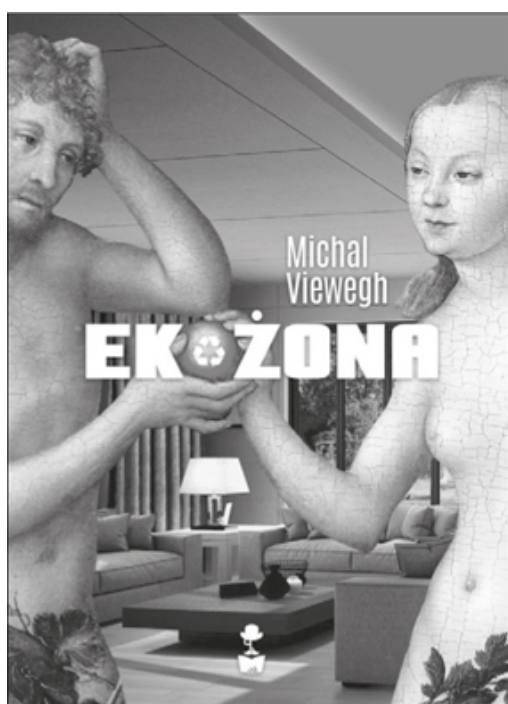
Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych



mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka dość zagadkowy personel oraz... demony przeszłości.

Tajemnicze odgłosy i niewyjaśnione zdarzenia przejmują władzę nad Wiktorem i jego rodziną. Czy mają swoje wytłumaczenie? Czy racjonalny umysł Wiktora rozwikła tajemnicę zamku?

Pamiętajcie: niczemu się tutaj nie dziwcie!



Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

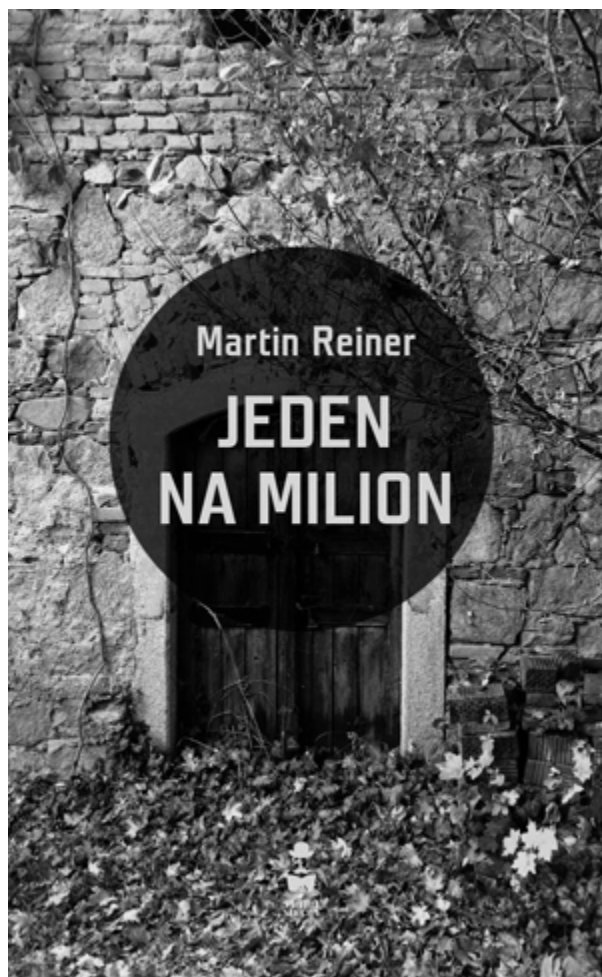
Poruszane przez autora poważne tematy zostały ubrane w brawurową narrację. Szczerość, autoironia i humor sprawiają, że mamy do czynienia z powieścią niezwykle inteligentną i nowoczesną.



Kiedy Mojmirowi pęka aorta, jego świat oraz światopogląd ulegają gwałtownym zmianom. Mojmir zmienia się z butnego racjonalisty... no właśnie, w kogo?

W tej brawurowej narracji pełnej ciętych ripost Michał Viewegh z humorem i autoironią opowiada o byciu pacjentem VIP oraz o poszukiwaniu nowej drogi życiowej po osobistym kataklizmie.

Ekomąż to jedna z najważniejszych powieści najpopularniejszego czeskiego pisarza.



*Jeden na milion* to zbiór czternastu opowiadań jednego z najpopularniejszych czeskich prozaików. Martin Reiner zabiera nas na łąki pełne hipisów, na próby chóru więziennego, do Ameryki – a szerokiemu wachlarzowi tematów towarzyszą różnorodne formy literackie. Lektura dla smakoszy!



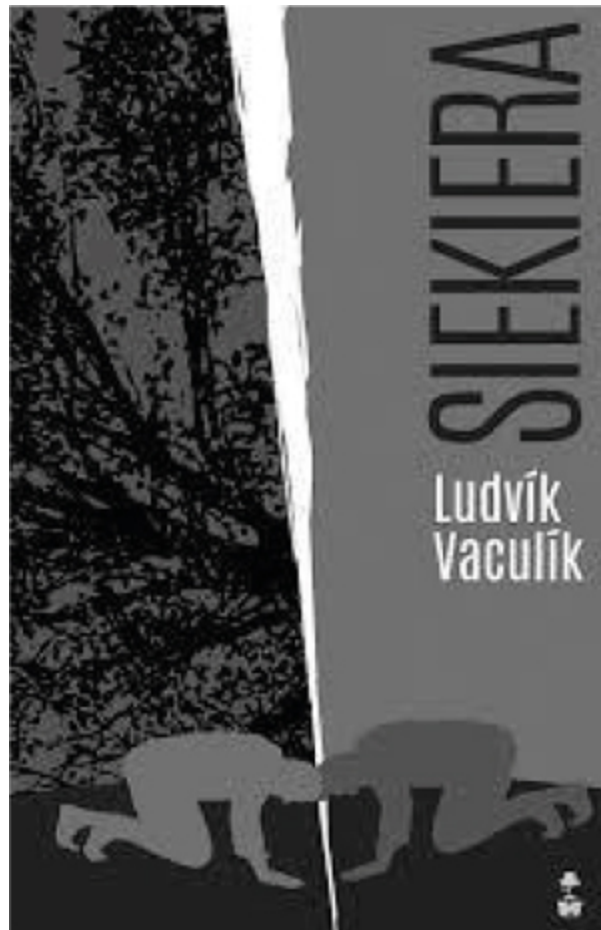
## MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?



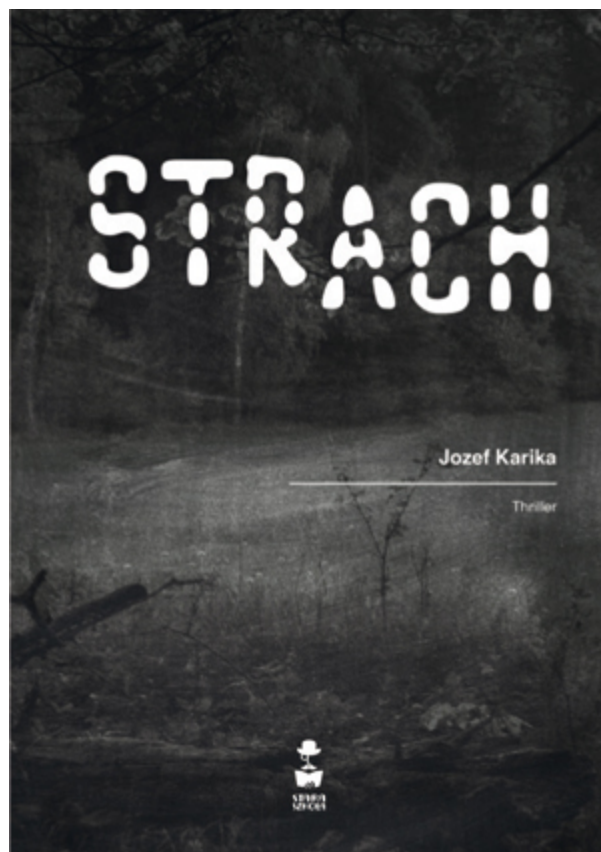
Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

*W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)*



Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

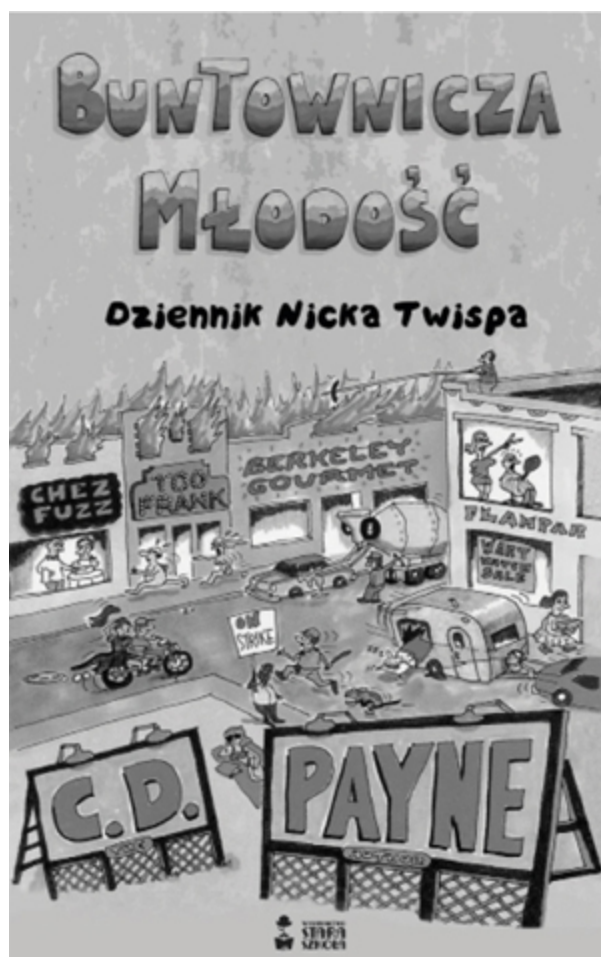
Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.



Mistyczny thriller przesiąknięty strachem.

Po rozpadzie kilkuletniego związku Jožo Karski powraca do rodzinnego Ružomberka. Tam czeka na niego puste mieszkanie rodziców, najmroźniejsza od kilku dziesięcioleci zima i podnóże góry skrywające mroczną tajemnicę.

Wkrótce w sąsiedztwie zaczynają zniknąć dzieci.



Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.





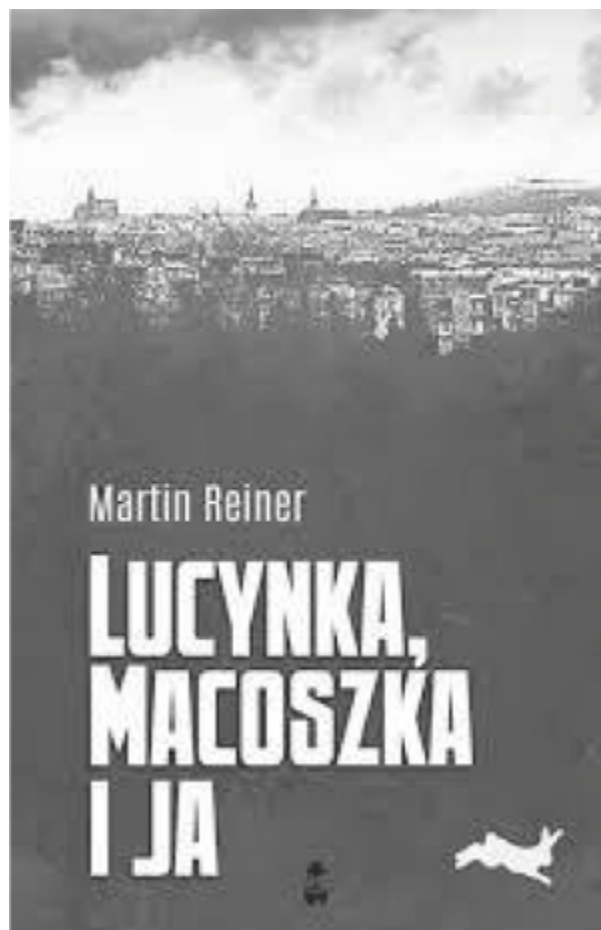
Ota Pavel  
Puchar od Pana Boga

---



Puchar od Pana Boga to zbiór tekstów, w których sport stanowi pretekst do opowieści o sprawach najważniejszych: życiu i śmierci, miłości, przyjaźni i pasji. Ota Pavel mówi o zwycięstwach i porażkach równie pięknie, jak o sarnach i rybach.

Lektura dla czytelników w każdym wieku i wspaniała lekcja życia.



Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

*Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą.* (Pavel Janoušek, „Tvar”)



Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.

Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

# Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[SAMOTNOŚĆ](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Samota*

Copyright @ Jozef Karika, 2020

Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2020

All rights reserved

*This book was published with a financial support from SLOLIA, Centre for Information on Literature in Bratislava.*

Książka została wydana dzięki wsparciu finansowemu SLOLIA, Centre for Information on Literature in Bratislava.

Tłumaczenie: Mirosław Śmigielski

Redakcja: Dagmara Ślęk-Paw

Korekta: Ewa Żak

Projekt okładki: Dagmara Ślęk-Paw

Wydawca:

Stara Szkoła Sp. z o.o.

Rudno 16, 56-100 Wołów

[biuro@stara-szkola.com](mailto:biuro@stara-szkola.com)

[www.stara-szkola.com](http://www.stara-szkola.com)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek